№ 15.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1841. Poznań, dnia 21. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Marzenie było mu życiem.

Powieść przez Stefanią F.....

(Ciąg dalszy.)

IV.

Kto nas na obiad zawoła,
Kto z nami siędzie do stoła?
Mickiewicz.

Kończył się miesiąc drugi, miesiąc bezchmurny i pogodny, kiedy dnia jednego zapukano równo z świtem do dworku Janusza. — Otworzono — był to sługa sędziego, wylękły, drzący, ledwo zdołał powiedzieć, że pani sędzina nagle wczoraj wieczór zasłabła i przywołany z miasteczka lekarz nie robi żadnéj nadziei. Janusz zerwał się z łóżka, wsiadł na konia, i wprzód jeszcze nim stanął w sędziego dworcu — »już się stało! umarła!« wyrzekł doń sługa, który pierwszy poskoczył mu konia odebrać, a Janusz wbiegł do dworu, nie pytając się o nic więcéj. Marya klęczała płacząc u łóżka umarłéj, a sędzia z zakrytą rękoma twarzą stał w oknie komnaty. Janusz wszedł cicho, nikt go nie usłyszał — klęknął w milczeniu obok Maryi i łzy płynęły mu po twarzy. Wspomniał na chwilę podobną w życiu swojém przeszłém — na zgon swojéj matki, i podwójnie cierpiał dzisiaj, bo wspomnieniem i istotą teraźniejszości. Długo tak modlili się i płakali razem, a gdy przyjście obcych żal i łzy przerwało, Marya spostrzegła Janusza. Nic sobie nie powiedzieli — Marya tylko podała mu rekę, wskazała na łoże umarłéj i nowemi zalała się łzami.

W kilka dni potém spała spokojnie matka pod zimnym głazem grobowca rodziny sędziego, a w wesołym niegdyś dworku z którego Bóg ją odwołał, smutek i boleść zostawiła po sobie. Człowiek tak łatwo uwierzy w szczęście — tak łatwo ufa pomyślności — że nawet nie zamarzy, by się kiedy zakończyć tu mogła. — W dom sędziego piorun nagle uderzył — a staruszek, co lat tyle obok żony przepędził — smutny i cierpiący, ujrzał się samotny i opuszczony na schyłku podeszłego żywota. Całego życia zdarzenia wspólnie i razem przeżyte, stały mu się dręczącém i gorzkiém wspomnieniem. Próżno czekał co rano, by mu ulubione żona podała śniadanie — płakał biorąc je z ręki sługi, i dwudziestoletnia nawykłość smutnie w pamięci jego utkwiła. Wieczorem nie przyszła mu dobranoc powiedzieć — przy obiedzie i wieczerzy próżno czekał, by zwyczajne miejsce zabrała: zawsze w milczeniu łzę gorzką ocierał, bo nie chciał cierpieniem swojém przyczyniać boleści Maryi i Januszowi. — »Oni tak młodzi,« mówił do siebie — »nie zrozumieją cierpień starca; dla nich świat stoi na roścież otwarty, dla mnie ostatnią zabrał Bóg pociechę!« — I dobrze mówił — w młodości pozostaje jeszcze nadzieja, świat tak długi i szeroki, a młodociane oczy tyle kwiatów szczęścia na nim widzą — stolnika świat szczupły już był i odrębny, a jeszcze ostatni kwiatek okrasy zniknął z nadbrzeża powiędłéj już starości. Jeżeli czasem odwrócił jeszcze oczy od grobowca żony i spojrzał na dziecię jedyne — widział obok niéj młodzieńca w sile wieku i o los się jéj nie troszczył. On tylko jeden, starzec — sierota, opuszczony na krańcu grobowca, nie miał innéj nadziei, tylko którą wieczność obiecuje.

* * *

»Maryo! masz ty ochotę jechać do stolicy?« pytał dnia jednego sędzia córki, siedząc nad świeżo odebranym z poczty listem. »Twoja ciotka pisze a pisze do mnie, żebym przecie ją odwiedził i zawiózł jéj ciebie moje dziecię. Trudno się będzie wymówić — a potém radbym jeszcze choć raz zobaczyć moją siostrę; dawnośmy się nie widzieli — oj! dawno.« — Starzec zwiesił głowę na piersi, a dwie łzy potoczyły się po zwiędłych licach. Wiedziała Marya, jakie to wspomnienie wyciska łzy z oczu ojca, i jéj oko także zabiegło na widok żalu ukochanego rodzica. — »Radbym,« mówił daléj ojciec — »radbym choć na czas jakiś odwiedzić krewieństwo — a potém wszak mnie nic już tak bardzo nie wiąże do domu.« — I starzec rzewnie zapłakał.

Po chwili przemówiła i Marya: »I ja także radabym ciotkę odwiedziła; już nawet nie pamiętam, jak wygląda — ale czy na długo pojedziemy do Warszawy?« W tém zapytaniu była myśl inna, bo Marya spuściła oczy i żywy rumieniec okrył jéj lica.

»Przecież ja myślę,« mówił ojciec — »że Janusz nie zostanie sam jeden na wsi — że i on z nami pojedzie! Nie troszcz się więc moje dziecię — toż i on musi poznać stolicę, a jeżeli się nie mylę, i on ma tam krewnych także.«

Marya zawstydziła się jeszcze bardziéj, że ojciec odkrył tak prędko myśl jéj tajemną — nie gniewała się jednak, że ją uspokoił, bo w duszy téj nadziei jeszcze nie śmiała wyrazić przed sobą, a drżała na myśl, że może ją ta podróż na czas jakiś rozdzieli z Januszem. Wszak już i tak śmierć matki usunęła chwilę połączenia i żałobne suknie musiały myśl wesela oddalić. — Wkrótce potém nadjechał Janusz i Marya wyszła powitać go w ganku.

„Za dwa tygodnie« mówiła do niego — »pojedziemy do stolicy — czy pojedziesz z nami Januszu?«

»Wszędzie z tobą i za tobą — na kraj świata — ależ to żarty — wy do Warszawy, tak prędko? — wczoraj ani słowa nie słyszałem o tém.«

»Dzisiaj dopiero przyszedł list od ciotki, który ojca do tego skłonił wyjazdu; widziałam, jak mocno życzył sobie tego — on taki smutny, taki cierpiący, dusza jego pragnie rozrywki — pragnie opuścić na czas jakiś te miejsca, gdzie, jak sam mówi, w każdym kąciku widzi matkę — któréj tu już nigdy nie obaczy.«

»Biedny starzec! ciężko ręka Boska go dotknęła — on kochał ją tak bardzo.«

»I dla tego Januszu, nie śmiałam się sprzeciwiać jego chęci, choć smutno mi będzie opuszczać to miejsce.«

»Nie pokazuj mu twego smutku! Ja pojadę z wami — czyż miejsce może szczęście, może serca nasze zmienić?«

Uspokoiły Maryą słowa Janusza — ucieszyła pewność nierozdzielenia się od niego — weselszém okiem spojrzała teraz na zamierzony wyjazd, a gdy ojciec powtórzył przy Januszu chęć i życzenie swoje udania się do stolicy, serce jéj nie biło żałośnie, bo wiedziała, że i tam Janusz obok niéj będzie — i brzmiały w jéj myśli słowa pociechy, które z ust jego słyszała. Wszak tak mało potrzeba kochającemu sercu? — jedno słowo, jedno wejrzenie — a rozchodzą się chmury ćmiące na chwilę słoneczną życia pogodę. Wszak była to wiosna miłości Janusza i Maryi — piękna, czysta, kwitnąca pod powiewem szczęścia i swobody! Czémże więc dla niéj były te mgliste i ulatujące obłoczki, co czasem bieleją na nieba błękicie? Takim to mglistym obłoczkiem był dla Maryi i Janusza odjazd z wiosek rodzinnych. Lubo nie powiedzieli sobie tego — lubo jadąc razem nic tam nie zostawiali — jakiś smutek mimowolny ogarniał ich serce z zbliżającym się dniem wyjazdu. Już też i przygotowania poczyniono wszystkie, i nadeszła wilia dnia na podróż przeznaczonego. Siedział Janusz zamyślony pod oknem w dworcu sędziego, smutne wejrzenie posyłając na pochmurny i posępny widnokrąg. Drzewa bezlistne suchemi o siebie uderzały gałęziami, trawka zżółkła i uschła, ziemia zczerniała od wilgoci i deszczu — czasem wiatr przynosił śnieżne szmaty wśród kropel deszczowych, a te natychmiast nikły na wilgotnéj ziemi. W komnatach smutno było i pusto — krzesła pokrywano w pokrowce — pochowano lepsze sprzęty — kufry i paki stały w pogotowiu do podróży. Marya krzątała się jeszcze koło reszty przyborów — sędzia w swojéj komnacie wydawał rozkazy. Wszystko odznaczało odjazd i bliskie miejsc tych opuszczenie. W duszy Janusza smutek osiadł mimowolny. Ten posępny widok ponuréj jesieni, ten widok nieładu podróży przygniótł serce jego żalem i zasępił myśli jego. Cóż winien temu człowiek, że zewnętrzne świata wypadki działają na duszę jego? człowiek, co nie pragnie zmiany — drży na każde jéj podobieństwo? Janusz nie lękał się w świecie tylko rozdziału z Maryą — a dzisiaj same oddalenia obrazy przedstawiały się jego oczom. Tam smutna była przyroda, pożegnawszy dnie lata pogodne — tutaj smutno patrzyły ściany na żegnających ich mieszkańców. Któż zresztą opisze wzru-

szenia serc ludzkich — któż wypowie, czemu ze smutkiem opuszczamy miejsca, gdzie choć chwilkę jednę byliśmy szczęśliwi?

»Nad czém tak myślisz Januszu?« spytała Marya przystępując do okna.

»Nad czém? o! nie pytaj mnie o to, bo trudna to odpowiedź — trudno określić słowy myśl moją; w téj chwili bujałem samotno po tych mglistych i czarnych obłokach — tam za niemi jest czyste, jest błękitne niebo! tam chciały przedrzeć się moje myśli, bo im smutno wśród tych chmur posępnych. — Maryo!« mówił znów po chwili — »przebacz, że obok ciebie szukałem myślą nieba innego, jak tego, co go mam przy tobie — ale dusza moja uciśniona obrazami odjazdu i oddalenia, smutna była i cierpiąca — wspomnienia innych rozłączeń — wiecznych — napełniły boleścią moje serce.«

Łzy były w oczach Maryi — wszak i ona opłakiwała wieczne rozłączenie, wszak na niéj jeszcze czarna sukuia żałoby. Zamilkł Janusz — nic mu nie odrzekła Marya — słowa jego zasmuciły jéj duszę.

„Czemuż,« wyrzekła wśród płaczu — »czemuż odjeżdżamy ztąd Januszu? tutaj nam było dobrze, a tam......«

„O! tam i wszędzie Maryo — dobrze nam będzie, póki razem, póki ze sobą — ale pomnijmy zawsze na te miejsca, gdzieśmy szczęście poznali — i przynieśmy w nie kiedyś toż samo szczęście z powrotem.«

W godzinę potém szedł zamyślony Janusz piechotą do wioski swojéj. Deszcz ucichł, wiatr tylko świszczał mu koło uszu i pędził na wyścigi czarne i mgliste chmury. Jedne za drugiemi mijały szybko na pochmurném niebie, rzekłbyś, że goniły za szczęścia marzeniem, i marzyły je znaleźć u celu nadpowietrznéj podróży. Janusz szedł i patrzał na nie i marzył — ach! czyliż jego szczęście miało tak ulecieć jak one — czyliż rozwiać się miało w nicość i nic po sobie nie zostawić? czyliż to są marzenia człowieka, tak, że jak obłoki zniknąć gdzieś mają wśród świata oddechu?! Marzenia! i cóż są marzenia? żywioł duszy, co nad ziemię ją wznosi — skrzydła myśli, co na nich buja po innym świecie! — Cóż pozostanie téj duszy, jeżeli je utraci?

Jutro miał Janusz opuścić te miejsca — opuścić grób matki — domek rodzinny — gdzie tyle, tyle żyło dla niego pamiątek. Szedł zwolna, żegnał każdą piędź ziemi, co się do niego znajomym odzywała głosem — któréj on tylekroć mówił o swojéj Maryi — dla któréj on nie był tu obcym. Tak przyszedł aż na smętarz, aż do grobu matki — wszedł — ukląkł i modlił się za nię — i żegnał to miejsce święte, które opuszczał na długo. — Jakiś smutek mimowolny, jakby przeczucie złego, osiadł w myślach jego; długo łkając boleśnie na wilgotnym klęczał kamieniu, i już kur zapiał po raz trzeci w wiosce, gdy Janusz wybladły i smutny do domu powrócił.

V.

Widzieć ptasząt zalecanki,
Słyszeć srebrny szmer strumyka;
Dla kochanka i kochanki
Dosyć chatki pustelnika.

Mickiewicz.

»Ach! jak piękne jest to życie! oświetlone słońcem takiego szczęścia!« mówił Janusz do Maryi, patrząc w jéj niebieskie oczy — „nie chciałażbyś tak żyć zawsze — tak zamartwieć na całą wieczność?«

»Prawda Januszu — ja się lękam nawet zbytku szczęścia mojego; — tyle ludzi wyrzeka na losy i na świat, a ja na nim tak piękne znalazłam życie.«

„Dziecię! lękać się szczęścia — szczęścia, któremu odblask niebiańskiego światła przyświeca!....« Umilkł Janusz — dalsze myśli w cichości wzbiły się po za obłok marzenia. Szczęśliwy! on jeszcze ufał w świat i w ludzi — on wierzył jeszcze ich słowom. W stolicy, śród tłumu, ściskał przyjazną dłonią dłoń obcego, którą mu z uśmiechem podawano — on wierzył w ten uśmiech — on mu ufał, jak małe dziecię, co niemowlęcemi usty śmieje się do każdego przychodnia i podaje mu śmiało niewinne rączęta. I nie raz wśród licznych biesiad, kędy go zgraja przyjaciół wciągnęła, swobodne spojrzenie Janusza obejmowało wszystkich jedném przyjaźni uczuciem; on dla nich byłby gotów poświęcić majątek, czas, usługi — i od nich byłby z ufnością tegoż w potrzebie zażądał; on cieszył się uciechami świata, bo i w nich szczęście ludzi widział i śmiał się ich śmiechem tylekroć udanym — ale on wierzył w ich szczerość. O! gdyby mógł zajrzeć w głąb serc i myśli — gdyby mógł poznać, ile fałszu, obłudy, pod tą barwą lśniącą — o! jakże byłby pożałował wioski — rodzinnego domku i grobowca matki, gdzie tak szczerze, z taką wiarą modlił się i ufał. Byłby uciekł z téj świetnéj biesiady, gdzie muzyka i wrzawa głuszy namiętności wrzące w sercach ludzkich — gdzie nie raz na skrwawioném sercu drzy różnobarwny bukiet — na ustach fałszu i obłudy igra uśmiech przyjaźni i słowa udanego uczucia. Ale Janusz nie widział tego — on patrzał na świat, jak na czyste i spokojne wody, kiedy je wieczorem księżyc ukołysze i wygładzi zmarszczki, co wiatr dzienny napędzał — widział tylko powierzchnię lśniącą się tak pięknie, nie pomnąc, czy nie wiedząc, jak

zdradna jest i niepewna, ile ostrych kamyków na dnie téj głębiny — jak groźne bałwany najmniejszy wietrzyk poruszy.

Pierwszy był Maja — kiedy u ciotki Maryi liczne zebrało się towarzystwo. Choć jeszcze w żałobie, nie mogła Marya wyłączać się od uczty, bo to imieniny ciotki, a i stary jéj ojciec nawet, weselszy i żwawszy od czasu jak do stolicy przyjechał, nie był obcym ochocie powszechnéj. Już też i czas żałoby nie tak długo miał trwać jeszcze, a na ten dzień Marya w bieli, inne oznaki żałoby złożyła. I była piękną — piękną jak aniołek, co nad jéj życiem czuwał — a Janusz zdala patrząc na nię, cieszył się jéj pięknością i ją tylko jednę widział w świecie całym.

»Piękną jest ta Marya« mówił młody mężczyzna do siedzącéj obok damy.

„I Janusz także piękny — para będzie dobrana.«

„Czy pewno się z nią żeni? niczego gust — bogata jedynaczka — doskonale to pogodził Janusz z uczuciem.«

»Cicho! nie drwij pan z uczucia Janusza — proszę nie mówić o tém, czego się nie rozumie.«

„Nie rozumie! — prawda — tak jak on czuć nie umiem i nie chcę — na to trzeba się było schować na wsi, gdzieś tam za światem — nie znać ludzi, nie znać życia, jak go Janusz nie zna — oddzielić się od reszty ziemi — zostać dziwakiem.«

»Prawda panie Auguście, kto zna świat, ten może czuć tak i ufać nie będzie jak Janusz; ale nie mogąc tak wierzyć, szanujmy czystość téj wiary.«

»Przyjdzie czas i na niego — teraz chodzi z zamkniętemi oczyma; — gdy mu doświadczenie zdejmie kataraktę — przejrzy — zobaczy — i pozna, że błądził. No — no, niech tylko jeszcze poczeka, już tam pewno ludzie uczynią mu tę chrześciańską usługę. Bo zresztą po co z takiemi wyobrażeniami do stolicy przyjeżdżać? — najlepiéj siedzieć sobie na wsi, albo gdzie pustelnikiem zostać. Tutaj jest dziwolągiem, a daj Boże! by kiedyś nie użyto na złe prostoty jego. — Ale muszę iść do niego, wyrwać go pięknym jego marzeniom.«

Janusz patrzał na Maryą, a marzenia jego słodkie i lube za nią tylko goniły. Gdy wśród tłumnych gości jego tylko szukały wejrzenia Maryi — zawsze oko jego z jéj się okiem spotkało — jak ich myśli, ich marzenia biegły ku sobie, siebie tylko wzajemnie szukając. I w tych myślach przerwał mu młody mężczyzna, co go ujął za rękę i przyjacielską z nim zaczął rozmowę. — »Jutro mam u siebie kilku znajomych — przyjaciół. Januszu i ty będziesz — bez ciebie brakowałoby mi najukochańszego towarzysza; — czy będziesz?«

»Ale — bo, jutro — ja jeszcze nie wiem.«

»Bez ciebie Januszu nie będzie wieczora — odproszę wszystkich!«

„Nie — nie czyń dla mnie innym nieprzyjemności — już będę ci służył.«

»Do widzenia — a pamiętaj!«

Janusz pamiętny obietnicy, był u przyjaciela jednym z pierwszych gości. Grano w karty, a mocno — Janusz przypatrywał się z daleka. W tém wywołano gospodarza — on wezwał Janusza, żeby go zastąpił. Janusz się wymawiał, ale gospodarz tak prosił, nalegał — usiadł więc Janusz do zielonego stolika. Gra była znaczna, stawki wysokie. Janusz był szczęśliwy — wygrał dużo. Gospodarz wrócił, szczęśliwego zastępcę zachęcał, by i dla siebie probować chciał szczęścia. Janusz się wzbraniał. August wziął mu prawie gwałtem kilkanaście dukatów — zmięszał z swojemi, przypuścił do spółki. Grali noc całą — szczęście sprzyjało Januszowi — a gdy się rozeszli, dwóch gości wyszło bez grosza, z rozpaczą w sercu — a jeden z ogranych odgrażał myślą Januszowi i przy pierwszéj sposobności gotował zemścić się sowicie, jego szczęściu przypisując swą stratę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pomysły o wychowaniu ludów.

(Ciąg dalszy.)

2. Natura jako środek wychowania.

Z saméj istoty pojęcia ludu, jako osoby zbiorowéj, wypada, że środkiem jego wychowania musi być coś takiego, co go całego otacza, co do całości przemawia, co w massach może żyć i tchnąć. Jakim był nauczyciel, taki musi być i środek nauczania: powszechny, nieskończony, jeden i ten sam zawsze, a jednak nie wyczerpany na wieki. Musi to być Bóg w objawieniu swojém.

Ludy wierząc w nauczycielstwo boskie, przekonane, że Bóg tylko a nie kto inny mądrość zsyła na ziemię, że je naucza i prowadzi, (nie pojmowały w niemowlęctwie ducha tego nauczycielstwa inaczéj, tylko, jak się już rzekło, że Bóg zstępował raz po raz na ten świat w postaci ludzkiéj, i pouczał ludy swoje w rzeczach im potrzebnych. Tak Jehova uczył Noego i jego synów budować korab', tak potém na górze Synai palcem swoim pisał przykazania na dwu kamiennych tablicach. W tém antropomorfizmie leży myśl głęboka objawienia boskiego. Duch przedwieczny, mądrość nieskończona w postaciach zewnętrznych objawia się, i objawić się musi,

aby go poznał człowiek i lud cały, będący tylko duchem zmysłowym. Jak ton nie istnieje inaczéj tylko na instrumencie wydany, jak nie ma głosu bez tchnienia, nie ma siły bez ciała, tak duch wszelaki objawienia potrzebuje w materyi. I tego to objawionego a nie innego Boga pojmują wszystkie ludy, wszystkie religie i wszystkie filozofie.

Objawiony zatém Bóg jest także nauczycielem ludów, a środki jego nauczycielstwa są rodzaje objawienia się jego; uzewnętrznione postacie, w których Bóg żyje, z których przemawia i naucza.

Najrozleglejszym i najogólniejszym objawem Boga jest natura, ten świat widomy, świetny, piękny, uroczy; w którym się objawiła najwyraźniéj mądrość Boga i niezmierzona jego potęga, czy to niedojrzanego weźmiesz pod rozwagę wymoczka, czy gubisz się myślą w świata ogromach; czy badasz wątły ustrój kryjącego się w trawce fiołka, czy pojrzysz na słońce, w którego blasku wszystkie kolory ziemi płoną. Świat jest najzupełniejszém objawieniem się Boga, bo jest niezmierzony w przestrzeni, jak niezmierzony jest Bóg; nieskończony w czasie, jak Bóg jest nieskończony. Koniec świata, który religia przepowiada, jest koniec globu naszego, który jest najbliższym światem naszym, a może oraz koniec systemu słonecznego, w który wchodzi ziemia, jako planeta. Ale takich słońc, takich systemów słonecznych są miliony milionów, z których w kolei wieczności jedne powstają, drugie nikną. Świat w tém rozciągłém znaczeniu końca nie ma, i mieć nie może, bo nie ma nic w coby się obrócił, nie ma nigdzie, gdzieby się podział.

Kiedy się tak mądrość i moc boska w zupełności, w całości przyrodzenia objawia, ziemia nasza, mieszkanie narodów, i wszystko co jest na niéj, jest tylko téj mądrości i nieskończoności cząstką, ale zawsze jeszcze tak nieprzebraną skarbnicą mądrości Boga, że i ta cząstka objawienia się jego, ludowi ziemskiemu jedynie przystępna, dostateczną być może jego nauczycielką.

Natura jest żywicielką ludów, zaradczynią wszystkich potrzeb rodzaju ludzkiego. Ona ludy zaopatrzyła do zbytku we wszystko, czego potrzebują. Jak troskliwa matka ziemię niby pierś nabraną, na pokarm im poddaje, ilekroć zapragną albo załakną. Rozlicznością ślicznych owoców obrzuciła trawy, krzewiny i drzewa, po które człowiek tylko posięgnąć potrzebuje. Z tysiąca źródeł przezroczych tryska dlań napój chłodny, zdrowy, smakowity, wymiona zwierząt nabierają się dlań mlekiem, pszczoły miód mu znoszą; winna jagoda pod skwarem słońca dojrzewa w sok umysł rozweselający. Zwierzęta mu posługi czynią; łono ziemi starcza kruszce, drzewa opał i budulec. A cały ten namiot świata, przeznaczony na mieszkanie ludów, strojny i świetny, oblany za dnia złotém światłem słońca, a nocą srebrnym blaskiem gwiazd i księżyca; jest jak scena nieustająca, pełna ruchu, śpiewu i życia. Co dzień, co godzina, co chwila zmienia się w kształtach, barwach i obrazach. Firmament coraz inny przeciąga po nad wzrokiem ludów, niby coraz inne kulisy na scenie, a ziemia sama w różnych porach dnia i roku, w różnych strefach i okolicach, przemyka się przed oczami jako najpyszniejsze pleorama. Całun nocy raz po raz w regularnych odstępach pokrywa to wszystko, aby spoczął i snem się pokrzepił rodzaj ludzki. Tak i matka dziecię snu potrzebne obrzuca osłoną, aby je promień słońca nie raził, a oko pod cieniem ciemnym łacniéj się zawarło.

Nie miałyż więc ludy tak pieszczone, tak darzone opatrznie nie widzieć w naturze matki najtroskliwszéj i mistrzyni swojéj, jak dziecię, gdy się siły ciała i umysłu jego rozwiną, widzi matkę i mistrzynię swoją w osobie, co je z macierzystą pieczołowitością opatruje, pieści i tuli do łona? Nie miałyż ludy z oblicza téj karmicielki swojéj wyczytać jéj myśli, jak dziecko z twarzy matki wyczytuje, gdy jeszcze słów jéj nie rozumie, czy je karci za psoty i zdróżności, czy pochwala za grzeczność i niewinne pociechy? nie miałyż ludy, baczne na głos i skinienia natury, uczyć się od niéj miłości i przykazań boskich i szczęścia swego, jak dziecię uczy się od matki stawiać niemowlęce nóżki, w dłonie drobne zaklasnąć, u szyi rączętami zawisnąć, czém oddaje radość niewinną i pierwszą miłość swoję; jak dziecię uczy się potém po głosie matki wymawiać wyrazy, czem zaszczepia miłość języka ojczystego, kochać rodzeństwo swoje, i szukać tego wszystkiego, co mu jest przydatne i pożyteczne do przyszłego szczęścia?

»Był czas« — powiada autor rysu filozoficznego umiejętności w kwartalniku naukowym tomie I. zeszycie II. str. 206. — »był czas, gdy człowiek bawiąc się u stóp matki natury, rozumiał jéj uśmiech i uczył się poznawać głoski w wielkiéj księdze przyrodzenia; bo matka zlewała jeszcze ducha swego z duchem namaszczeńca, wieczności. Nic nie było naówczas tajnego i Stwórca bez zasłony. Uczucia jak anioły zstępowały z nieba na ziemię, i żyły z rodem ludzkim, a dusza człowieka, jakby pienia proroków, wylewała się w nieskończoność.«

»Był taki ród i czas taki. Ktoby wątpił, niechaj się zapyta mitologii wszystkich ludów. Wszak od brzegów Nilu do Mexyku, od Chin i Gangesu do

Skandynawii i lodów Islandzkich, w Palestynie, w Słowianach, w Germanach, historya zachowała pamiątki, które jak kwiaty powiewne wspominają o grobie pradziadowego plemienia. Owe pojmowanie nie było zaiste dziełem późno dopiero usamowolnionego rozumu, lecz jakiémś jasnowidzeniem, pochodzącém z ścisłego związku człowieka z naturą.«

I czegoż więc ta natura, to objawienie się Boga, ten środek nauczycielstwa jego, czegoż ona pouczyła ludy? Oto, jak się już namieniło, czego matka naucza dzieci swoje, dopókąd wolą własną i rozumem nie wzrosną, i nie wydrą się z jéj objęć czułych, i pójdą na rozstaje zaniechawszy prostych ścieszek, którémi ich troskliwa i opiekuńcza ręka wodziła. Uczyły się ludy kochać Boga, nauczyciela, dawcę życia i stwórcę wszech rzeczy. Nie pojmowały go rozumem, ale pojmowały uczuciem, bo widziały, jak stał obok matki natury i starczał jéj hojnie tego wszystkiego, co posiadała, patrzały mu twarz w twarz i znały go jako ojca swojego. Ani im przyjść na myśl mogło, ażeby kiedyś pomylić się miały w jego osobie, ażeby przyszedł czas kiedy ród ludzki rozlicznych czcić będzie Bogów, ażeby wróciwszy po wiekach do uznania tylko jednego ojca i stwórcy, zapomniał jego oblicza, i każdy go w innych przymiotach, innych rysach sobie wystawiał; ażeby, o zgrozo! narody, owo wielkie rodzeństwo ziemskie, mordowały się i prześladowały, jeden drugiemu narzucając swojego Boga jako prawego ojca.

Uczyły się daléj ludy od matki natury kochać się między sobą, jak rodzeństwo jednéj matki i jednego ojca kochać się powinno. Ziemia i świat jest dziedzictwem wszystkich. Gdzie siła człowieka nie sięga, tam widocznie natura wszystkich porówno opieką swoją osłania, wszystkim porówno dary swoje wydziela. Słońca jeden naród drugiemu, i jeden człowiek drugiemu zakryć nie potrafi przez złość i zazdrość, ażeby mu nie świeciło: nie zatrzyma rzeki u źródła, ażeby mu dań wód swoich nie niosła, nie wyczerpnie powietrza, ażeby niém nie oddychał; ziemi nie zabroni, ażeby nie rodziła; nie wydrze mu talentów i zdatności przyrodzonych; nie zakaże mowy, a gdyby i tę zakazał, nie zakaże myśli. Tak podobno i to, na co lud jeden, człowiek jeden, z uszczerbkiem innych ludów i braci swoich, prawo wyłącznéj własności położył, ziemię i jéj owoce, i wszystko, co natura bez dołożenia się pracy człowieka wydaje, było zrazu wspólném dziedzictwem ludów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Korrespondencya. — Paryż, dnia 7. Lipca. U nas tu w Paryżu teraz bardzo głucho. O żadném zajmującém zdarzeniu donieść nie mogę. Każde lato sprowadza bankructwo na tutejszéj giełdzie nowości. Artyści dramatyczni jak bociany ciągną na wiosnę w północne kraje, z tą różnicą, że zamiast szkodliwych gadów, wybierają w nich najpotrzebniejsze złoto; panowie dyplomaci, literaci, filozofy i rozmaitego rodzaju ludzie sławni, wyjeżdżają jedni siano grabić, winnice uprawiać, drudzy szukają pięknych gaików, czystych strumyków dla rozpędzenia myśli, które tak szybko jak wozy parowe po głowach ich przebiegają; inni nareszcie jadą do wód dla stracenia reszty zdrowia, układania nowych planów na zimę, lub dla zapełnienia czczości życia jakiemi nowemi awanturkami. — W Paryżu zostają się latem tylko ludzie pracujący, ubodzy, i ci, którym do domu daleko. Zkądże się tedy i nowości brać mają. — Dziś przechodząc przez ulicę Coq St. Honoré, zatrzymałem się przy licznym tłumie ludzi, ażeby się dowiedzieć, co jest przedmiotem ich ciekawości. Jakież było moje podziwienie, skoro przekonałem się, że owę ciekawość wzbudził portret Ignacego Gurowskiego z podpisem: *„Portrait de Mr. le comte Ignace de Gourowski, Ravisseur de la princesse Isabelle Fernanda, Infante d'Espagne.“* Wystawcie sobie, jak mało potrzeba w Paryżu, żeby zostać sławnym.

Kuryer belgijski donosi o nadzwyczajnym wynalazku, o którym i my wspominamy, bez ręczenia za prawdę podania. Pan Sax wynalazł organy parowe, które w całéj prowincyi słyszeć można. Organy te są opatrzone w stalowe śmigi, poruszane siłą pary. Olbrzymi ten instrument ma być przy wielkich uroczystościach ludu lub otwarciu nowych kolei żelaznych użytym. Osadzą go na wozie przed machiną parową, z któréj para przechodzić będzie do niego, a natenczas głos organów przegłuszy huk machiny parowéj, szelest kół, a nawet grzmot sam. Jakie uczyniłyby organy te wrażenie, dodaje w końcu to pismo, gdyby je można na wieży w Mecheln zaprowadzić i na nich zagrać?!

Skępstwo szkockie. Anglicy opowiadają wiele rzeczy charakterystycznych o skępstwie Szkotów. Za przykład podajemy następującą powieść: Żebrak spotkał dnia jednego na ulicy Edynburga duchownego, o którym powszechnie mówiono, że bardzo jest bogaty, i prosił go o jednę gwineę. — »Jednę gwineę! mój przyjacielu, to za wiele; jak możesz tak znacznéj summy odemnie wymagać?« —

»To przynajmniéj racz mi dać szyling.« — »I to za wiele.« — »Ale fenyga mi przecie dobrodziéj nie odmówisz?« — »Ani fenyga ani szylinga nie dam, przecie pieniędzy nie będę po ulicach rozrzucał.« — »Więc przynajmniéj błagam cię o błogosławieństwo.« — »A co tego, to ci nie odmawiam, niech cię mój synu niebo błogosławi.« — »Nie chcę twego błogosławieństwa,« rzekł ubogi do Szkota — »gdyby ono choć fenyg warte było, nie byłbyś mi go udzielił.«

Dziennik z nad Rodanu powiada o pewnym młodzieńcu, iż wszedłszy na drzewo ogołocone z liścia przez gąsienice, jadł tereśnie. Nie upłynęło dwadzieścia minut, aliści dostał gwałtownego zapalenia gardła. Zszedł z drzewa i wołał: »dławię się, umieram!« W pół godziny już nie żył. Gąsienice, dodaje ten dziennik, pozostawiają w tym roku na tereśniach niedostrzeżoną okiem ciecz pewną, która jest nader gwałtowną trucizną. Wystawić się przeto można na wielkie niebezpieczeństwo, jedząc tereśnie bez opłukania ich w wodzie.

Z Loo w Holandyi wydało towarzystwo sokołowe odezwę do wszystkiéj fashionablowéj młodzieży, która w wyścigach konnych dotąd wielkie położyła zasługi, aby nowym postępem chciała uświetnić swe *far niente*. Towarzystwo to właśnie na spekulacye jest założone i każdy członek powinien życie swe zabezpieczyć w jakiém towarzystwie, by sokół zamiast zająca nie porwał modnego młodzieńca. Dla takiéj to młodzieży sprowadzono mnóstwo sokołów z Francyi i Niemiec, odznaczających się wielkością i połyskiem piór białych. W Loo jest teraz 50 sokołów wyćwiczonych do polowania w pobliskich borach. Przewodniczyć tym łowom będą książę i księżna Oranii, książę Aleksander Niderlandów, książę Esterhazy, a udział brać będą sami lordowie i hrabiowie, — kto z nimi pragnie się łączyć, niech wcześnie życie swe zabezpiecza, zgłasza potém do prezesów towarzystwa, a opatrzywszy kieszenie w złoto, daléj w drogę. Być może, że i tu niezadługo ujrzymy i towarzystwa sokołowe, i jak za czasów Olbrachta młodzież sokołową.

W Vincennes żyje chłopiec, który uchodzi za nadzwyczajne zjawisko. Liczy lat dziewięć dopiero, wzrostu na ten wiek odpowiedniego, już ma wąsy jak grenadyer, a piesaki prawdziwie saperowskie.

W kampanii roku 1812. stoczono bitwę pod Kaługą, którą ogień rossyjski armatni sypany na Francuzów, rozpoczął. W szeregach rossyjskich znajdował się pułk Czerkiesów, którzy też z swéj strony zaczęli strzałami godzić na Francuzów. Ostatni widząc, że na nich nietylko kule, ale i strzały z łuków padają, zaczęli się na głos śmiać śród powszechnego okrzyku: *Ah! les amours s'en melent.* (Ah! i amorki do bitwy się wdają.)

Wesoły Warburton przytaczał w mowie swéj mianéj w izbie wyższéj, miejsca z biblii; biskup, który obok siedział, począł go ciągnąć za rękaw i mówił: »a kiedy pan przestaniesz mieć kazanie?« Mówca odrzekł bez namysłu: »jak zostanę biskupem.«

Pewien Anglik podróżujący czyni następujące postrzeżenie: Francuzi zatrzymują kapelusze na głowach przy obiedzie, często wobec dam nawet. Jest to wprawdzie mniéj znaczącą okolicznością, zasługuje jednak być wymienioną na dowód, jak w grzecznościach teraz Francuzi się cofnęli. Największą zaś ich wadą są rozmowy. Przedmiotem rozmów są po największéj części rzeczy, które świadczą o zupełnéj demoralizacyi ich charakteru, nie tak ze względu na pojedyńcze występki, jak raczéj z braku wszelkich zasad i moralnego uczucia.

Sławny obraz Dawida, przedstawiający koronacyą Napoleona, został w tych dniach przez licytacyą sprzedany. Z początku żądano zań 20,000 fr., potém 10,000 fr., aż nakoniec z trudnością otrzymano 2,300 franków. Takto czasy się zmieniają!

Koleje żelazne pod wyższym względem uważane. Koleje żelazne obok machin parowych zdają się nam najważniejszym wynalazkiem od czasu sztuki drukarskiéj i w przyszłości niemniéj wpływać będą na społeczne stósunki. Oba wynalazki w tém są podobne do siebie, że ruch przyspieszają i znoszą przestrzenie rozdzielające ludzi. Sztuka drukarska zbliżyła ludzi do siebie umysłowo, przez książki ułatwiona została wymiana myśli między niezliczoną liczbą głów myślących, a koleje żelazne zbliżają ciała do siebie i dodają do pisma żywe słowo mowy i naoczne zapatrywanie się na dzieje narodów. I jeżeli najwyższe duchowe pojęcia ludzkości za pomocą druku zyskały powszechniejsze uznanie, to koleje żelazne je silniéj utwierdzą i w życie wprowadzą. One dopomogą do ukończenia tego, co druk rozpoczął, do uzupełnienia tego, co on zapowiedział.

Baraszka. (Opowiadanie górala węgierskiego.) Ja wam prawdę powidam, [illegible]ją uczciwą duszu, jakem góral, jak Boga kocha[illegible] że nic tak w świecie nie lubim, jako cegańską muzykę; u nas to ledwo dusza ne zagore, jako oni poczną wygrywał; lebo im tak Bóg dal, lebo mają swój sposób. Ja wam prawdę powidam, u nas jeden książe bohaty, książe Esterhazy, jej bohu! co to za pan bohaty, to on bohatszy od samego cysara — to on założyl się

był z druhim węgierskim książęciem — i to nie o mało! o dwaćset trećset tysiąca ryńskich, prysięgam Bohu! — a ten ma muzykę tyż jakiéj tu nie słuchaliście! — założył się był, czyja muzyka lepszejsza? czy książęcia pierwszeho? czy książęcia drugieho? — Pryszło do wygrywania; no, księcią Esterhazego muzyka zagrała tyż wspaniale, ale jak poczęła cegańska muzyka wygrywał: tak wszećko płakało! Lebo im tak Bóg dał, lebo mają swój sposób... i t. d.

MODY. — Paryż, dnia 7. Lipca 1841. — Kolorowe muśliny i inne tkaniny bawełniane prawie zupełnie z mody wyszły, tak dalece zwiększyła się liczba jedwabnych i wełnianych tkanin. Po równych prawie cenach co muśliny i jaconas barèges w najświeższych kolorach można dostać kitajki, na których wiją się gałązki lub bukiety kwiatów, tulgaze, gdzie przezroczystość z połyskiem się łączy, fulardy, które więcéj do negliżu są brane, pekiny kwieciste, w guście staroświeckim, a przytém modnym. Wszystko to jest wyborne, bardzo stósowne dla dam modnych i nie zatrzymuje owych tysiącznych fałdeczek, w które tak ubiory muślinowe obfitują.

Najmłodsze nawet damy używają teraz latem stroików na głowę; nie jest to tak zwane we włosach, ani w czepeczku, jest w nich coś pośredniego. Najpiękniejsze są z koronek, gazy, wstążek.

Zasłony najwięcéj w tym roku się podobały, a to z dwojakiego powodu, raz, że dodają uroku, drugie, że są użyteczne. Nigdy w ich noszeniu nie było tyle rozmaitości, co teraz. Biorą je do negliżów i do stroju. Na kilka palcy szerokie, otaczają mile kapotki krepowe, opadają u włoskich kapeluszy i płyną u bobrowych kapeluszy, na koniu jadącéj damy.

Nową tkaniną jest pagne; niemniéj piękną tkanina, którą przywieziono z Beirutu. Odznacza się wschodniém bogactwem, elegancyą i oryginalnością. Tkanina ta podobna jest do białego muślinu kaszemirowego, w wielkie wzory bramowana, i to w najpiękniejszych cieniach. Dosyć wystawić sobie ową tkaninę, a już wystawimy sobie piękną kobietę w nię ubraną, na któréj nie ułożona, ale rozlana w najpiękniejsze kształty jest suknia, a któréj piękność podnosi jeszcze szal kaszemirowy owity około kibici, z przodu zapięty, z końcami aż do nóg opadającemi. Na długich i obszernych rękawach też same kolory się powtarzają. Grecki stanik we fałdy nieregularne, dopełnia tych kształtów, których urok trudno opisać.

Co do strojów i klejnotów, z niemi rzecz się ma jak z tkaninami na suknie; każda pora ma sobie właściwe. Najwięcéj teraz używają kameów koralowych. Do dziennéj toalety przyćmione złoto, jakoteż perły. Stroje te, nietylko powinny być pojedyńcze, ale mieć jeszcze muszą pozór użytku i zastósowania, to jest mają zastępować guziki lub kamee, do utrzymania fałd, umocowania mankietek, do zapięcia chusteczki, bo teraz wychodzą z téj zasady, że na wsi nie stroić, lecz ubierać się potrzeba.

Szale długie z czarnych koronek, orzucone lub pojedyńczo bramowane, bardzo pięknie wyglądają i nie są ciężkie, tak iż przez cały dzień mogą być noszone.

Ubranie ranne od niechcenia. Szlafroczek bazinowy w szerokie pasy i z szerokim brzegiem; podwójny kołnierzyk, tworzący pelerynę i orzucony paskami karbowanemi. Czepeczek z muślinu haftowanego z kokardami wstążek liliowych i paliowych. Pantofle z białego haftowanego drelichu.

Negliż na wyjście. Szlafroczek z brunatnego fulardu w białe wzory. Długi szal z podobnéj tkaniny. Kapotka z białego poux de soie z podwójnemi bufkami. Kołnierzyk i mankietki z wszytemi paskami.

Toaleta wieczorna. Suknia różowa bareżowa. Długi szal z angielskich koronek. Strój głowy z koronek, zdobny mchu różą. Wachlarz i bukiet.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz jedwabny zdobny gałązką georgin. Suknia z tkaniny mieniącéj i szeroko wygięta falbana. Szarfa z czarnéj koronki.
2. Kapelusz jak u 1. Suknia jedwabna. Stanik gładki, obcisłe rękawy, osadzone równie jak powłok z przodu ukosami.
3. Ściągany kapelusz zdobny kwiatami i koronką. Pojedyńcza biała suknia z obcisłemi rękawami i stanikiem bluzowym. Szarfa z blado-zielonego grosdenaplu, haftowana kolorowym jedwabiem.
4. Ubiór na rano. Czepeczek z koronek i wstążek. Szlafroczek z bazin. Stanik gładki, u wycięcia fałdzista koronka. Półdługie rękawy. Z przodu ku dołowi guziki. Przepaska długa z jedwabnéj wstążki.
5. Ubiór na rano jak u 4., tylko z bareżu, z stanikiem otwartym bluzowym, z suknią spodnią.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



15